Tom V. Nr. 8.

11. Września. 1861.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Szczęśliwy człowiek.

Pewien król zachorował śmiertelnie. Daremne były zabiegi lekarzy, aby go uratować. Nakoniec poradził jeden bardzo mądry i stary lekarz, że król wtedy ozdrowieje, jeżeli wdzieje na się koszulę szczęśliwego człowieka, i dwie doby mieć ją będzie na sobie. Myśli sobie król:—toć nic łatwiejszego, jak znaleźć człowieka szczęśliwego. Woła tedy ministrów i pyta, czy są szczęśliwi? Gdzie tam, ten ma za wiele pracy, ten niezdrów, i tak każdemu czegoś trzeba. Wysyła tedy król posłów, aby po całym kraju szukali szczęśliwego człowieka.

Poszli oni szukać najprzód tego szczęśliwca w pałacach, ale przekonali się, że szczęście w pałacach nie zamieszkuje. Znaleźli tam tyle nieszczęść, chorób, nudów, narzekań na świat, niewierności małżeńskiej, złych dzieci: że czemprędzej opuszczali pałace. Ale nie lepiej im się darzyło u mieszczan i rolników. I tam miał każdy swego robaka, i tam choć nie było tyle urojonych nieszczęść co w pałacach, bo przy pracy więk-

sza część ich znika, jednak żaden z tych ludzi nie nazwał się szczęśliwym.

I już wracali owi posłowie napowrót, gdy wtem idąc przez las, usłyszeli gwizdanie i śpiew wesoły. Skierowali kroki w tę stronę, zkąd ich głos dochodził, i oto widzą węglarza, który w pocie czoła pracuje przy węglach, a choć w dymie i w kurzawie, śpiewa serdecznie, aż miło. Mówią z cicha do siebie posłowie:

— Miałże by być ten człowiek szczęśliwym? Ależ to niepodobna! — Pytają go jednak, czy jest szczęśliwym.

— A jakże — odpowiada węglarz — jestem zdrów, wesół, a choć jém tylko czarny chleb i popijam wodę, to nie pragnę nic więcej, dziękuję Bogu za to co mi daje, i za nic w świecie nie mieniałbym mego ubóstwa i wesołości za największe bogactwa. Tak, tak, moi panowie! — i zaśpiewał wesołą piosneczkę, że aż posłom żal się zrobiło, iż oni nie są tacy szczęśliwi.

Rzekną do niego po chwili:

— O szczęśliwy człowieku, a nie uczyniłbyś nam wielkiej przysługi, i to dla samego króla? Oto jest chorym bardzo nasz pan miłościwy, i dopiero wtedy ozdrowieje, gdy dwie doby będzie miał na sobie koszulę człowieka szczęśliwego; pożycz nam więc dla króla twej koszuli.

Odrzecze węglarz:

— Chętnie bym to uczynił, ale cóż, kiedy tylko to mam, co na mnie widzicie, to jest, te szarawary i gołe plecy, a koszuli nie mam.

Zasmuceni, a więcej jeszcze zadziwieni posłowie odeszli, a węglarz śpiewał sobie znowu, aż się po lesie rozlegało.

Otóż nauka dla nas, że można być przy największem ubóstwie szczęśliwym, jeśli się zadowolnimy tem, co mamy, a miernie i skromnie żyjemy.

Już to Jan Kochanowski, sławny pisarz nasz polski przed trzystu laty żyjący, powiedział:

„Ten pan zdaniem mojem,
Kto przestał na swojem.“

Gw. C.

Pogorzelec.

Miałem chatę poszywaną, dwie białe świetlice,
Miałem brogi i oborę, boćka na oborze,
Miałem w podwórku jawora, jawora jak świécę,
Miałem kożuch i świąteczne odzienie w komorze:
A dziś ledwo ręce zdrowe i na plecach łaty,
Ni to brogów, ni obory, jawora ni chaty,
Mój Boże, mój Boże!

Podłożyli ogień ludzie, oj niedobrzy ludzie,
Poszła cała ojcowizna niby wiązka siana;
O Halusi powiadali jak o jakim cudzie,
Taka ładna na gosposię, a taka kochana...
Hej bez chaty... co zapowiedź, co mi tam kochanie!
W biednej piersi mało serce od żalu nie stanie,
Halusiu kochana!

Toć pamiętasz, o północy... aż krew w żyłach stygnie...
Nawet bociek, biedne ptasze, młode mu zabrało,
A co które z góry zleci, jeno szyjkę wygnie,
Zatrzepota skrzydełkami, mało, i przestało...
Wszystko zboże, cep i brona, wóz i pługi oba,
A chudoba znikła w ogniu, prześliczna chudoba!
Oj stało się, stało!

Dzisiaj wiater sobie chodzi po spalonej chacie,
Jak na dudce, na spalonym wygrywa jaworze;
Ani żóraw już nie skrzypi przy studni na warcie,
Gęste zielsko się rzuciło po spadłej oborze.
Kiedyż ja się odbuduję moja Haluś miła?
Oj źli ludzie... jeszcze na nich godzina nie biła,
Mój Boże, mój Boże!

Grześ z Mogiły.

Źli sąsiedzi.

We wsi Powodny było dwu gospodarzy nieostatnich, co się mieli nie źle, boć dał im pan Jezus i grunta dobre i pracy podostatkiem. Jeden się zwał Szymon Gwizdoń a drugi Wojtek Sroka. Chałupy ich były blisko, bo tylko ogrody przedzielały ich, a grunta od zapłoci szły sznurem długim i tylko miedzą

graniczyły. Jakto na wsi bywa między ludźmi rozmaicie, tak i ci gospodarze mieli ciągle kłótnie i zwady między sobą. To raz krzyczy Szymon:

— A co to wy Wojciechu robicie; toć wasze bydło stratowało mi jęczmień i owies od końca do końca! Co to będzie z tego?

A Wojciech mu na to odpowie:

— Ja go tam nie zaganiał, a zresztą i wasze bydło narobiło mi szkody co niemiara.

I nuż od słowa do słowa, od przezwiska do obrazy Boga, aż narobiło się hałasu i gwaru, co nie raz było słychać po całej wsi, a ich wyzwiska straszne odbijały się aż o dwór i święty kościoł. Nigdy też jeden drugiemu nie ustąpił ani pofolgował, nieraz do północy wygadywali na siebie niestworzone rzeczy, a każdy od swej chałupy krzyczał co mu gardła stało, osobliwie Szymon Gwizdoń był cięty jak ostra siekiera. Po takiej kłótni sprowadzali się do karczmy na drugi dzień, i tam w gromadzkim sądzie przepraszali się przy dobrym napitku, a jak się wytrzeźwili, to znowu nowe swary i publika straszna.

Przez tych dwu gospodarzy nie było nigdy spokoju we wsi, a obrazy bożej i ztąd zgorszenia bardzo wiele.

Więc raz zawołał ich pan do dworu, a był to pan mądry i sprawiedliwy, co go tam i najgorszy musiał pochwalić, i ten pan tak rzecze:

— Moi dobrzy ludzie! czemu wy się zawsze kłócicie? Macie takie grunta, macie i gospodarstwo, macie dziatki zdrowe i dobre, czyż nie moglibyście siedzieć cicho, spokojnie jak u Boga za drzwiami? Co wy chcecie, co wy macie do siebie?

Na to zaczęli oba razem gadać i Wojciech i Szymon, a tak rażno i głośno, że pan ani słowa wyrozumieć, ani ich pogodzić nie mógł; i byliby się może poczubili między sobą, gdyby to nie we dworze i nie przy dobrym panie. Aż się zmordowali gadaniem, a tu o nic nie szło innego, tylko o szkodę, którą głupie bydle jednemu i drugiemu czasem zrobiło. Gdy trochę ucichli, pan znowu ich godzi i tak mówi:

— Toć to trudno obejść się bez szkody, gdzie jest gawiedź i chudoba! I twoje wlezie na cudze, a cudze na twoje,

toć nigdy nie może gospodarz wszystkiego zabrać co wysiał: bo jedno ziarneczko zje ptaszek, który ani sieje ani orze, jeno śpiewa tak ładnie ludziom i nad dachem i na polu przy robocie i w ogródku w sadowinie; a drugie ziarneczko znowu to zgnije w jesieni, to wymarznie w kiepską zimę, to nie zejdzie, to go robaczki zjedzą, wszak i o tem biedactwie pamięta pan Jezus; a trzecie znowu wyrwie bydlę albo go wydepce, a może dziesiąte urośnie i wraca do stodoły gospodarskiej! A zresztą, toć to zjada twoja chudoba, to niech jej wyjdzie na zdrowie. I o cóż tu się kłócić i swarzyć?

Na to rzekną gospodarze:

— Tać to pan świętą prawdę mówi: ale na co ma być szkoda, na co robić tak jakby naumyślnie?

Ale pan godzi ich i prawi:

— Naumyślnie to tylko złodziej lub zły człowiek robi szkodę, a wy oba przecie ludzie dobrzy i pierwsi na wsi gazdowie. Oto podajcie sobie ręce i żyjcie w zgodzie.

I nibyto zgodzili się Szymon z Wojciechem i szli do dom, ale w sercu ich był tam zawsze zawziątek. Boć to i prawda, że kto się lubi kłócić, temu lada włos zaszkodzi, i o głupią trzaskę będzie wygadywał, jakby Bóg wie o co! Tak też Szymon z Wojciechem ledwo noc cicho przespali, a na drugi dzień w południe już się kłócili o nową szkodę. I nie było na to rady, aż ich zwołał sam ksiądz do siebie i nuż im prawić:

— Przecież ja myślał, że wy ludzie pobożni, boć co prawda to prawda, że bywacie w kościele na nabożeństwie, boć i pracujecie i nie przepijacie i o dzieci dbacie: ale wy nie jesteście ludźmi jak się patrzy. Na co tyle obrazy bożej, tyle wywoływania, tyle publiki strasznej?

A Szymon czerwony rzeknie:

— Na co on mi robi tyle szkody! — i popatrzył na Wojciecha, jakby na rabusia co sto wsi spalił.

A Wojciech do żywego tknięty znowu gada:

— To ty mi robisz szkodę, bo jabym miał nie tyle zboża w stodole, żeby nie twoje bydło i nie twoja gawiedź.

I znowu zaczęli sobie dogadywać, aż ksiądz mówi:

— Bójcie się Boga! zobaczycie, że ani wy Szymonie, ani

wy Wojciechu nie będziecie pożywać tych darów boskich, które wam tak ładnie rosną na polu. Jak będziecie oba źli, to musi być zawsze źle, ale albo oba zmieńcie się, albo przynajmniej jeden niech ma rozum! Pamiętajcie sobie dobrze, że pan Jezus cierpi długo, ale na końcu przyjdzie i kara od niego.

Na to się odezwie Szymon:

— Mój jegomość, i cóż ja takiego złego robię? toć ja ani pijak, ani cygan jaki! Czy ja tam komu robię jakie krzywdy?

Na to ksiądz rzecze:

— A czyż to nie grzech wielki po nocach wywoływać od chałupy jeden na drugiego takie rzeczy, aż wstyd mówić? Czy to nie grzech znieważać i niedzielę i święta, i zaraz po nabożeństwie rozpoczynać kłótnie, gdzie ludzie słuchają wszystko i jeno się gorszą? Czy to nie grzech ta obraza boża? A dzieci wasze czegoż się uczą przez to?

I zamilkli oba gazdowie na tę mowę, i jakoś sobie trochę wzięli do głowy i znowu się przy księdzu pogodzili, a skłoniwszy się pięknie i pochwaliwszy pana Jezusa, poszli do domu. Ale gdzie tam cięty Szymon mógł dzień przeżyć bez kłótni? I gdzie tam znowu Wojciech mógł cierpliwie słuchać gadania i wyzywania Szymonowego! Otóż kłócili się jak dawniej, i to zawsze o jakąś szkodę! Ale dobrze im ksiądz mówił, że pan Jezus cierpi długo, ale i on ma swój czas do kary naznaczony. Otóż rozchorował się na piękne najpierwej Wojciech. Leżał długo, to kaszlał, to stękał, to siedział, to łaził koło domu, ale roboty żadnej ani ruszyć mu było; to też wtedy już nie wychodził na dwór i nie odżerał się Szymkowi. Ale na wiosnę chciał koniecznie wyjść na zapłoć i tam zobaczyć swój grunt i zasiewy; wziął sobie laskę grubą, obuł się w buty jak na mróz dobry, i wyszedł na zapłocie, ale tam zesłabł i przewrócił się koło drogi, i tak nieboraczysko leżał. Aż tu jedzie tą drogą Szymon: on sobie siedział na wozie, a syn jego poganiał konie. I przyjechali w to miejsce, gdzie biedny Wojciech leżał skulony i prawie konający.

A Szymon pyta syna:

— Kto to taki leży? Co to za człowiek, czy wsiowy?

Na to syn mówi:

— To nie poznajecie Wojciecha, naszego chrzestnego ojca?

I stanął z wozem syn Szymona, i chciał skoczyć z wozu i pójść podźwignąć swego chrzestnego ojca, ale Szymon krzyknie:

— Siedź ty głupia noga, ja sam pójdę do niego.

I przyszedł do Wojciecha kuma, popatrzył mu w oczy, a wtedy obudził się w jego sercu piekielny gniew i szatańska radość, i zaczął sobie gadać z śmiechem:

— A widzisz bratku! a co moja szkoda, będzie jeszcze? A czemu się teraz nie kłócisz? no, gadaj kumunciu mój!

A syn Szymona siedział zapłakany na wozie, boć mu żal było Wojciecha i tak się odezwał:

— Chyba ja tatusiu podjadę tam i włożymy chorego chrzestnego ojca na wóz; wy go potrzymacie, aby się nie talał po wozie, ja przywiozę wody ze studni, może się jeszcze ocuci, a potem pojedziemy pomaleńku i zawieziemy go do domu. Ale trza mu kożuch porozpinać, bo go bardzo gniecie — i ruszył wozem, a wtedy Szymon gada:

— Ani się tykaj ty głupia nogo! Niech sobie tu kończy, bo on mi zalał nie raz gorącego sadła za skórę. — Potem śmiejąc się, wsiadł na wóz i kazał jechać.

Umarł Wojciech na zapłociu, na tem polu, pod temi wierzbami, gdzie się nieraz kłótnie rozpoczynały z Szymonem o szkodę! Ale nie darował też pan Jezus i zajadłemu Szymkowi owych kłótni częstych i owej złości, że konającemu Wojciechowi nie przebaczył, ale się jeszcze cieszył z jego konania, a co gorsze, że na konającego Wojciecha wygadywał ze złością. On myślał, że go nikt nie widział; syn jego nie widział tego, bo sobie zatkał oczy od płaczu kapeluszem, a łzy mu łały się po brodzie aż na kołnierz od koszuli; nie widział tego nikt inny, ale widział tę sromotę pan Jezus z nieba, co wisi nad głową każdego człowieka, a ztamtąd patrzy na naszą ziemię, jakby przez czyste okienko, i widzi co każdy człowiek robi i gdzie każdy robaczek się obraca i gdzie najdrobniejsza trawka rośnie, i gdzie się podziewa jak ginie: a widzi nawet przez wierzch naszej głowy, co człowiek myśli, i widzi przez pierś naszą na wylot, co człowiek ma na sercu, czy dobroć czy gniew, czy

grzech jaki utajony, czy uczynek dobry. I słyszy pan Jezus wszystko; to też słyszał on wszystkie złe słowa, które Wojciech i Szymon do siebie po dobremu i po złemu gadali, i wiedział wszystko, co oni kiedy robili, czy naumyślnie czy nienaumyślnie.

Otóż jedzie sobie Szymon dosyć wesoło, a nie wiedział w tej chwili, że oprócz jego syna na wozie, płakali i Anieli na niebie, że też to ludzie ochrzczeni, co mają tak święte kościoły i takie nauki, a mogą robić tak, jak właśnie zrobił Szymon konającemu Wojciechowi! Ale on nie wiedział, że pan Jezus w niebie nagotował już karę na niego. I pojechał sobie na targ, poprzedał i pokupił, co było do domu potrzeba, i miał już wsiadać na wóz, a syn go pyta:

— Kupiliście soli do domu?

— Aha! — odpowie Szymon — prawda, żem zapomniał jeszcze kupić tej soli — i poszedł w miasto i przechodził przez gospodę w mieście, i na prostej drodze upadł jak długi. Leżał też na środku sieni w gospodzie, leżał na śmieciu żydowskiem, stękał i jęczał, ale tu nikt ani się go zapytał:

— Co wam to się stało? — owszem niejeden go kopnął i mówił sobie:

— Ot jakiś pijak; spił się śmierdzącego gorzałczyska jak bydlę pomyi, i teraz tu leży i stęka. — Aż ktoś miał wjeżdzać do sieni, i zaciągnął go pod żłób i zostawił w śmieciach leżącego. A syn Szymona stoi i czeka i wyziera ojca, a ojca nie widać, już wieczór, a ojca nie widać. Zostawił wóz i poszedł ojca szukać po mieście, ale gdzie go znaleźć? Kto wie, gdzie on jest? kto tam widział, że go zaciągnięto pod żłób, takiego gospodarza! I chodził biedny syn noc całą i płakał i szukał, i był się pytać w tej samej gospodzie o ojca, a on nieszczęsny nie wiedział, że ojciec kona pod żłobem na śmieciu, że go niejeden kopnął i napluł na niego. Aż rano na drugi dzień znalazł ojca na wpół umarłego, wziął go na wóz, rozesłał dużo siana, zdjął swój kożuch z siebie, podesłał go ojcu, porozpinał mu chusty na szyi, aby mógł lekko dychać, przyniósł wody zimnej, obmył twarz i głowę ojcu, potem po-

szedł po doktora, nakupił różnych leków i jak już doktor kazał mu jechać do domu, wtedy siadł sobie tak, aby głowę ojca położyć na swe kolana i trzymać ją, by mu się nie ruszała mocno, nakrył ojca, by mu proch nie leciał na twarz i by go słonko nie piekło, i jechał tak nóżka z nóżki tylko, a płakał tak, że już i świata bożego nie widział ani nie wiedział, że już do wsi swej przyjechał. I musiał jechać tą samą drogą do domu, kędy wczoraj z ojcem zdrowym przejeżdżał; a ledwo przyjechał pod te wierżby, gdzie to Wojciech, jego chrzestny ojciec leżał konający, i gdzie go nie podratowali, wtedy Szymon podniósł głowę raptem i zawołał:

— Stój synu! — i popatrzył się groźno w to miejsce, gdzie leżał konający Wojciech i mówił: — I ja tu muszę skonać za karę na tem samem miejscu, gdziem się tyle kłócił, tyle Boga obrażał, i tego konającego znieważał i śmiał się z niego. Tak mi coś powiedziało do ucha, gdym tu nadjeżdżał — i to wymówiwszy, padł do wozu na siano i umarł!...

Syn przywiózł trupa do domu. W domu Wojciecha zawodziła straszne płacze żona z dziećmi, teraz rozpoczęła znowu Szymonowa to samo.

Wnet przybiegł pan, ksiądz i ludzie, a wszyscy gadali:

— Ot widzisz! czy to nie kara Boża widoczna? Jak żyli tak umarli, gdzie się kłócili, tam ich śmierć z dopustu bożego zapadła! — Ale potruchleli oraz wszyscy na takie zdarzenie!

Drugiego dnia szły z kościoła dwie trumny na cmentarz, szły cicho i pomaleńku, jakby nic nie zaszło; prowadził je ksiądz zasmucony, bo się sprawdziło to, co on gadał nie raz tym dwom kłótnikom za życia. Szedł i pan ze dworu i ludzi dużo, a wszystko smutne, bo ukarał pan Jezus dwu pierwszych we wsi gospodarzy tak strasznie! Zadzwoniły dzwony, dwie trumny spadły do ciemnego grobu! dwaj kłótnicy za życia leżeli cicho na wieki na świętym cmentarzu, nawet się nie przeprosili umierając, tylko jeden Wojciech umarł po św. spowiedzi, a Szymon umarł bez spowiedzi, a pan Jezus osądził Szymona duszę, za owe złe serce, które on konającemu Wojciechowi okazał. Ale niech im obom odpuścić raczy pan Jezus ich grze-

chy, a wy ludkowie żyjcie w świętej zgodzie między sobą, żyjcie w miłości z kościołem bożym i dworem, aby i was nie pokarał podobnie pan Jezus.

Ks. Wojciech z Medyki.

Jak to sobie radzić, żeby szkody od ognia nie było.

Powiedziałem wam przeszłą razą, iż chcąc być pewnym, że ogień szkody nie zrobi, trzeba się zabezpieczyć w Towarzystwie ogniowem, czyli w Asekuracyi, bo choćby się potem co spaliło, to ci stratę w pieniądzach wrócą. Obiecałem wam też dziś opowiedzieć, w jaki sposób można się to w tem naszem Towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń zabezpieczać, więc jako człowiek sumienny zaraz wam to wypiszę, jeno proszę o dobrą baczność na moje słowa!

Zabezpieczać można wszelaki majątek ruchomy i nieruchomy, a uszkodzeniu przez ogień podlegający, czy on na wsi, czy w mieście. Więc możesz sobie zabezpieczyć dom mieszkalny, stodołę, oborę i tak dalej, jako taki majątek, co się z miejsca ruszyć nie da, więc nieruchomy; albo zboże w snopach, wódkę w beczkach, drzewo na składzie i tym podobne, jako majątek, co się da z miejsca ruszyć i przenieść, a więc ruchomy. Zabezpieczenia zaś nie przyjmuje Towarzystwo nasze najprzód: na składy albo fabryki takich rzeczy, jak proch, saletra i inne, a takie, co to choćby tylko iskierka wleciała, cały budynek w powietrze ci wysadzi; dalej nie przyjmuje zabezpieczenia na wszelkie budynki dla wojska lub na ich graty przeznaczone; a wreszcie zabezpieczać nie wolno gotowych pieniędzy i innych papierów i dokumentów, takoż różnych kosztowności, obrazów i t. p.

Kto sobie chce swój majątek zabezpieczyć, to idzie do pierwszego lepszego ajenta czyli urzędnika od Towarzystwa, którzy już teraz w lada miasteczku znajdować się będą, i powie: — Mój panie, jabym się chciał zabezpieczyć. — Na to juści urzędnik się spyta: — A cóż chcecie zabezpieczyć, dom, czy szpichlerz, czy co? — Więc tu trzeba mu dopiero pięknie wyliczyć albo spisać jak kto umie, czy to dom, czy co inne-

go, a jak dom, to z czego zbudowany, czem pokryty i tak dalej. Ajent sobie to wszystko opisze, obliczycie razem siła majątek warta, i dopieroć urzędnik posyła te wykazy do Lwowa albo do Krakowa, gdzie mu bliżej do dyrektora, a ów wypisuje kwit czyli *policę*, poświadczającą jako ten a ten majątek jest zabezpieczony. Więc ty człowieku przy odebraniu policy musisz dopiero zapłacić, ile tam wypadnie, stosownie do tego, ile wart majątek, i na jak długo ma być zabezpieczony. A wtedy, skoro masz już *policę* w ręce, a choćbyś i nie miał, lecz dyrektor o tem już jest zawiadomiony: to już możesz spać spokojnie, bo choćbyś i na drugi dzień miał się spalić, wszystko do grajcarka ci wypłacą.

Nasze Towarzystwo, jako że dopiero niedawno ustanowione, nie ma jeszcze dużo pieniędzy, tak jak owe Towarzystwa zagraniczne, które już od dawna istnieją. Więc zkądże nasze Towarzystwo bierze pieniędzy na wypłacenie pogorzelców? Otóż tak się ta rzecz ma:

Jak już wiecie, przy zabezpieczaniu płaci się kilka, czy kilkanaście reńskich, wedle tego, co się zabezpiecza, a to się zowie *zaliczka*, i te pieniądze od siła ludzi na raz służą do wypłaty pogorzelców. Trafi się czasem, jak dużo pożarów, że nie starczy tych pieniędzy i z własnej kieszeni trzeba dopłacać, ale to bardzo rzadko; częściej tak się to dzieje, że jeszcze dużo z tych pieniędzy zostanie, a to wtedy jest czystym zyskiem, jeno schować do trzosa. Chowają też do trzosa Towarzystwa zagraniczne, ale nasze nie tak. Nasze każe sobie wprawdzie na początku troszkę więcej płacić, i jeszcze od każdego reńskiego po 5 nowych krajcarów, lecz nie na własne zyski. Z pieniędzy tych płaci ono pogorzelców, płaci swoich urzędników, papier i inne wydatki, a po opędzeniu tych kosztów rozdziela znowu resztę na zabezpieczających się, to jest na tych, co dali. I tak, jak ty w obcem Towarzystwie zapłacisz na ten przykład 3 reńskie zaliczki od zabezpieczenia, a pan Jezus cię i tak od ognia ochroni, to ci już te trzy reńskie na wieki tam przepadają; a u nas nie! u nas przypadnie jeszcze na ciebie bodaj coś nie co z tej zaliczki, wedle tego, czy dużo, czy mało było pożarów, to jest, czy Towarzystwo wielkie, czy nie

wielkie poniosło koszta. A gdyby bardzo częste były pożary, to i nic ci się nie wróci, ale jak już powiedziałem, rzadko się to trafia. Jak więc widzicie mądre to urządzenie, bo z reszty tych zaliczek to ci się zbiera i zbiera, i tak ci się uzbierać może, że od czego dziś na ten przykład reński płacisz, to za lat kilkanaście, gdy się ciągle zabezpieczasz, zapłacisz od tego samego ledwie kilka krajcarków, bo Towarzystwo wielkie sumy już będzie miało, a nie dla swego trzosa, jak cudzoziemskie Towarzystwa, jeno dla całego kraju, dla tych właśnie, co się zabezpieczają.

Można się zabezpieczać w naszem Towarzystwie każdego czasu, kiedy kto tylko zechce, aleć nie można ci na krócej, jak na trzy miesiące. Kto jednak ma już ubezpieczone przedmioty, a chce tylko czas ubezpieczenia przedłużyć, to mu to i na jeden miesiąc uczynić wolno.

Owóż zobaczmy teraz, jak sobie trzeba postępować, gdy pan Bóg nieszczęściem nawiedzi, i pożar zniszczy zabezpieczony majątek. Oto zaraz po zaszłej pogorzeli, a najpóźniej we trzy dni, powinien pogorzelec albo na piśmie za recepisą posłać wiadomość do ajenta, albo zawiadomić go ustnie o nieszczęściu, przy obecnych temu dwóch świadkach. Przy takiem to opowiedzeniu wypadku trzeba wymienić przyczynę pożaru, jeśli jest wiadoma, albo też powiedzieć, jak się kto domyśla, z czego ogień wybuchł; wyliczyć potem należy, co zostało uratowane, a co się spaliło, i jak wielka w spalonem może być szkoda.

Pogorzeliska nie można uprzątać, ani też nic odmieniać na tem miejscu, jeno wszystko tak zostawić, jak było zaraz po ugaszeniu, dopóki urzędnicy z Towarzystwa na komisję nie zjadą i nie oglądną, czy rzeczywiście tyle się spaliło, jak pogorzelec podaje. Komisja dopiero ogląda ściśle, co się spaliło a co zostało, i rachuje, ile straty wypadło, a więc, ile poszkodowanemu wypłacić należy, wedle tego, na ile był zabezpieczony. Wyrachowawszy to, podaje komisja żądanie do dyrektora, u którego na miejscu, najdalej za dwie niedziele po skończeniu komisji za kwitem pieniądze w gotówce odebrać można, albo też jak zechcesz, to ci wynagrodzenie przez pocztę do miejsca zamieszkania przyszlą.

Od sumy, którą za szkody przez pożar wyrządzone masz otrzymać, odtrąca się także pięć od sta, to jest, od każdych 100 reńskich 5, na fundusz rezerwowy, to znaczy na ten fundusz, czyli na tę sumę, która ma się w skrzyni Towarzystwa zbierać i zbierać na to, żeby zaliczka mogła być coraz mniejszą, a tym końcem coraz mniej uciążliwszą dla tych, co się zabezpieczają.

Oto mniej więcej opowiedziałem wam w krótkich słowach, jak się to rzeczy mają z naszem Towarzystwem, i jak sobie to radzić trzeba od ogniowej szkody przez zabezpieczenie. Nie jednemu, co jeszcze nic a nic o takich Towarzystwach nie słyszał, będzie to może trochę dziwne i niezrozumiałe; alić niech sobie raz i drugi to com tu napisał, uważnie przeczyta, niech przytem poduma trochę swoim prostym rozumem, a pewnikiem przyjdzie ci do samej prawdy, i wyrozumie rzecz, co się zowie do ostatka. Jeżeli zaś kto już taka zabita głowa, że tych tu spraw różnych i rachunków nie pojmie, więc już koniecznie wyrozumieć musi, że to rzecz bardzo dobra, jeżli ci w nieszczęściu duchem gotowiznę na dłoń wyliczą, i jest na razie zczem, jak to mówią, zabrać się do ludzi i do świata. Trafi się znowu, że niejeden uwierzy a nie zechce, bo mu żal będzie kilka złotych na zaliczkę, jako że u nas nieprzezornych ludzi więcej, jak przezornych. Aleć to moi ludzie bardzo, i bardzo źle; bo to, jak mówią: *żeby kto był wieszczy, toby był bogaty*, ale cóż ty mizerny człeku przewidzieć możesz, jakie nieszczęście cię czeka, choćbyś niewiedzieć jaki miał rozum w głowie? Więc kiedy taka jest natura ludzka nie wiedząca, toć *lepiej dźwigać jak ścigać*, lepiej się oglądać na najgorsze, i na najgorsze być przygotowanym, jak potem, żeby cię miało zjeść do szczętu lada małe nieszczęście; lepiej płacić co nieco za swój spokój i być za to pewnym, że potrafisz oprzeć się jako tako biedzie, niż ciągle być w niepewności, czy jeden pożar nie wygoni cię na żebry z żoną i z dzieciętami. Zysk taki pojmie każdy, bo do tego nie trza wielkiej głowy; a już w to, że to nasze Towarzystwo ubezpieczeń od ognia najlepiej chce tylko zrobić ludziom, to już i mnie, i innym ludziom, co się na tem rozumią, wierzyć musicie. Swojskie ono, toćby nie

chciało niczyjej szkody; a najlepiej się o tem przekona każdy, co się w tem Towarzystwie ubezpieczyć zechce. Ja wam to tutaj podaję jako sumienną i doskonałą radę przeciw nieszczęściom od ognia, a zresztą oddaję Was Panu Bogu!

Grześ z Mogiły.

RÓŻNOŚCI.

Złodziejska sztuczka. Piszą w gazecie o przygodzie, jaka się przytrafiła niedawno temu, pewnemu człekowi ze wsi Brzany w Sandeckiem; a żeby się to i drugiemu przytrafić już nie mogło, więc wam ją tu na przestrogę powtórzę:

Owóż w ostatnich dniach przeszłego miesiąca wysłano owego człowieka do Jasła z listem. Idzie on, idzie, ażci w drodze spotyka go jakiś urlopnik. — Niech będzie pochwalony! — Na wieki wieków! — gadu, gadu, idą sobie razem, nareszcie urlopnik opowiada naszemu posłańcowi, że także idzie do miasta po trzysta reńskich, które ma dostać za to, że długo w wojsku służył.

Tak rozmawiający, uszli może z milę i nic; aż nagle schyla się urlopnik i podnosi zwitek papieru, nitką do kołuśka owiązany.

— Chwała panu Jezusowi, czemś mię też pan Bóg obdarzył — rzecze uradowany — jakieś mnie szczęście spotkało!

To mówiąc, rozwiązuje zwitek, i z podziwieniem wielkiem znajduje w nim dukata, rozwija dalej, znajduje i drugiego.

— Mój Boże, dwie kapitulacye wysłużyłem w wojsku, a nigdy nic podobnego nie znalazłem!

— Ha, dziękujcie panu Jezusowi, że o biednych pamięta — rzecze posłaniec z Brzan. — Przytrafunek też to nie lada, dwa dukaty na równej drodze.

A w duszy myślał sobie nasz człowiek:

— Hej, żeby to można od niego tanim kosztem te dukaty odkupić!

I patrzcie, ledwo sobie tak pomyślał, a nasz urlopnik, jakgdyby go był na wskroś przejrzał, rzeknie:

— Mój człowieku, doradźcież mi, co mam z temi dukatami zrobić? Jestem biedny i odzienie moje liche; jeżeli je będę mieniał, mogą we mnie wmówić, żem je ukradł, przyczem i dukaty stracę i do nieszczęścia przyjdę. Wiecie co, dam wam dukaty w zastaw za dziesięć reńskich, a po dwóch tygodniach wrócę i wykupię.

Posłaniec uradowany, że mu się sposobność nasuwa, byłby onemu chętnie dał 10 reńskich, ale cóż, kiedy nie miał przy duszy więcej jak 1 reński i sześć centków, a i to na drogę. Ale cóż za szczęście,

kiedy urlopnik wziął tylko reńskiego, i dał dukaty w zastaw. Niedługo też przyszli do Jasła, tam się pożegnali i rozeszli.

Minął tydzień, mija drugi, urlopnika nie widać; więc idzie nasz człek do miasta do znajomego mieszczanina, a oddawszy jego niewieście koszyczek z jabłkami w podarunku, rzeknie:

— Chciałbym też z wami mój panie na osobności pogadać w jednej ważnej sprawie.

— No, no, cóż takiego, mówcie! — zawoła mieszczanin, skazując żonie, żeby wyszła.

Na to chłopek obejrzawszy się, wyjmuje z zanadrza dukat, i pyta po cichu ile warta i coby z tem zrobić?

— Mój człeku, toć to nie dukat! — zawoła zdziwiony mieszczanin, przyglądnąwszy się z bliska pieniądzowi.

Nasz chłopek stanął jak rażony, a mieszczanin prawi dalej:

— Toć to nie jest nawet żaden pieniądz, jeno z mosiądzu taki znaczek, jakie panowie grając w karty używają.

Trudno to było uwierzyć, ale gdzie się tylko nasz człowiek spytał, to mu to samo powiadano, bo święta była prawda, jako że znaczek ów nawet nie leżał przy złocie, i nikt nie chciał dać za to ani grajcara. Reński przepadł z urlopnikiem jak kamień w wodę, a nasz biedny chłopek oszukany, jeno tyle, co miał uciechę przez dni kilka i nic więcej!

Patrzcież, na jaką się to złodziejską sztuczkę puścił ów urlopnik! Bo to sam te znaczki w papier owinął, a potem rzucił na ziemię, niby to znalazł i w pole wywiódł uczciwego człowieka!

Skrzydlate parobki. Z A n t o n ó w k i, z obwodu Czortkowskiego, donoszą do gazet o przedziwnej rzeczy, której tam wiele ludzi się przypatrywało. Otóż tak:

Jak wiadomo, w bardzo wielu miejscach wylęgła się tego roku szarańcza, i choć dał pan Jezus, że niewiele szkody wyrządziła, toć przecie roboty było po łokcie z tępieniem onego plugastwa. Owóż trafiło się to samo i w Antonówce. Drobna szarańcza zaległa pola, aż czarno, więc wyszło siła ludzi, stanęli sobie szeregiem, i tak idąc krok za krokiem, dalejże spędzać szarańczę na jedno miejsce, gwoli łatwiejszego wytępienia. Zabrali się więc do pracy, postępują, umiatają, aliści jakież było ich zdziwienie, gdy nagle w górze pokazuje się cała gromada bocianów, lecąca prosto na pole zaległe szarańczą. Toby jeszcze nic, ale bociany zleciawszy na ziemię, stają sobie rządkiem naprzeciw umiatających ludzi, przytem i po bokach, tak, że zamknęły drogę uciekającej szarańczy. A potem mościewy, jak się to boże ptactwo zaczęło uwijać, tępiąc, dziobiąc i zjadając szarańczę, to aż strach; ludzie aż postawali od dziwu żeby nie spłoszyć tych skrzydlatych parobków, którzy bez przestanku i wytchu pra-

cowali, uganiając się za robactwem, przyczem nie bacząc i na ludzi naprzód się posuwali. Jakoż niezadługo z wielkim skutkiem została wytępioną szarańcza w Antonówce.

No, i moiściewy, jakie to poczciwe! Aż się człowiekowi śmiać i płakać chce i chwalić pana Boga i Jego mądrość najwyższą. Jakże tu nie pilnować gniazd tego bożego ptactwa, jakże tu nie bić psotników, co się do młodych zakradają; i jakże tu nie gniewać się na niemców, co do bocianów strzelają: kiedy to ptactwo takie skuteczne na żaby i inne gadziny, jeszcze się do wytępienia szarańczy przyczynia!

Czytelnia w Podkamieniu. Nietylko w samych Myślenicach, jak wam to niedawno doniosłem, ale już i w innych miejscach są takie czytelnie, kędy by niezamożni ludzie książeczki i inne pożyteczne druki do czytania wypożyczać sobie mogli. Owóż tu chcę wam powiedzieć o Czytelni w Podkamieniu, w brzeżańskim obwodzie, boć także i ta urosła tylko poczciwością i dobrą wolą ludzką, a nie ze żadnego nakazu. Najwięcej się do jej założenia przyczynili: gospodarz tamtejszy *Skulski*, majster mularski, i *Józef Michałowski*, stolarz. Skulski odstąpił na czytelnię własne swoje mieszkanie, a Michałowski stara się gorliwie o to, żeby się ludzie schodzili, i wtedy im dopiero różne rzeczy ciekawe odczytuje, choćby i do północy. Wszystkie poczciwe chęci powinny mieć uznanie, i powinny być w poszanowaniu u ludzi: niechże więc i ci dwaj majstrowie będą wiadomi nietylko w swoim kącie lecz i dalej po świecie, jako się do oświecenia bliźnich, i do wzbudzenia w nich cnót chrześcijańskich gorliwie przyczyniają.

Gorliwy pszczelarz. Sławni niegdyś bywali pszczelarze w naszej polskiej krainie, nieraz też natrafiałeś na ogromne pasieki, a gdzieś wstąpił w gościnne progi, przyjmowano cię czystym jak łza miodem syconym, albo zastawiano całe, wonne plastry na misach, a plastry takiego miodu, co go lipcem zwano, dla tego, że pracowite pszczoły z lipowego kwiatu go znosiły. Dzisiaj niestety, rzadko gdzie umieją chodzić tak troskliwie koło pszczół, jak dawniej. Jeden z drugim byle wyżył, to już jeno mu do góry brzuchem się chce leżeć, nie dba o inny zysk i inne wygody, choć to miły i pożyteczny zachód koło pszczółek. Bardzo mię też to uradowało, gdym znalazł we wsi *Sieńkowie* w Złoczowskiem, gospodarza, imieniem *Konrad Seńczuk*, który sobie urządził pasiekę nielada, bo w niej już dziś przeszło sto pni stoi, a przecież choć sam i koło gruntu i koło pszczół ukrzątnąć się potrafi, a owszem nawet od roku do roku o jeden, dwa i trzy roje pasiekę pomnaża. Umie też sobie polepszyć, jak co nowego w pszczelnictwie wymyślą, bo oto niedawno przywiózł z daleka ulepszony ul, zwący się *Dzierzon*, i wedle tego już sobie sam Dzierzony robi. Niechże więc będzie tu ten gorliwy i zapobiegliwy gospodarz i pasiecznik na przykład innym ludziom zapisany.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.